

Pamiętam, kiedy...

– wspomnienia najstarszych mieszkańców Domanic



Domanice 2020

Władysław Paszkowski



Itak to się zaczęło...

Władysław Paszkowski w 2020 roku skończył sto trzy lata. Urodził się, gdy Polski wciąż nie było na mapie Europy. Dzieciństwo i młodość spędził w rodzinnej wsi, w Małopolsce. Gdy przybył na Ziemię Zachodnie w poszukiwaniu gospodarstwa, miał dwadzieścia osiem lat. W Domanicach znalazł dom, w którym mieszka do dzisiaj. Pan Władysław pierwsze powojenne lata na Dolnym Śląsku pamięta doskonale. Mimo swego wieku jest samodzielny i pełen energii, nie stracił poczucia humoru, opowiadając często się śmieje. Jeśli pogoda pozwala, wychodzi na długie spacery na okoliczne pola.

Urodziłem się w krakowskim, we wsi Rajbrot, 7 lutego 1917 roku. W zaborze austriackim. Wioska miała trzy tysiące mieszkańców i ze trzy tysiące hektarów ziemi. Rodzice byli rolnikami. Miałem siedmiu braci i dwie siostry. Na tamte warunki to ojciec miał większe gospodarstwo, może z 10 hektarów. Na Małopolskę to było dużo. Dom był pod słomą, drewniany.

Czemu zdecydował się Pan opuścić rodzinny dom i przyjechać tutaj, w nieznane?

No wie Pani, jak się ma siedmiu braci, to... (*śmieje się*), to dla jednego jest miejsce, a nie dla siedmiu. Ja byłem w środku, byłem czwarty.

Przyszedłem do gminy, a tu mówią, że kto by miał ochotę zajmować gospodarstwo, proszę się zgłosić do starostwa w Bochni, dostanie takie zaświadczenie i cały pociąg przesiedleńców pojedzie. Pojechaliśmy do Bochni, z mojej wioski było jakoś ze trzydziestu ludzi.

Wsiadamy do pociągu, z Bochni specjalny pociąg jedzie, starosta nas żegnał. Jedziemy. Przyjechaliśmy do Oleśnicy. Tory do Wrocławia zerwane. To co? Wracamy. Ale kierownik naszej drużyny mówi, że jak ktoś chce, to niech wraca, a kto chce, to idziemy na piechotę na Poznań i znajdziemy jakiś pociąg, i pojedziemy do Świdnicy.

Do Oleśnicy przyjechaliśmy na wieczór, tam zameczek jakiś jest, rozpaliliśmy ognisko i siedzieliśmy, a rano wyruszyliśmy na Poznań. Cały dzień żeśmy szli, zanocowaliśmy na jakiejś stacji. Wsiadliśmy do pociągu, dojechaliśmy do Legnicy, tory zerwane. Co zrobić? Tam stało polskie wojsko, poszedł kierownik naszej drużyny, żeby nam dali jakiś pojazd do Świdnicy. To był towarowy samochód, dziesięciu nas wsiadło na stojąco, jedziemy. W Strzegomiu na zakręcie wyjechaliśmy za szybko i wszyscy wylecieliśmy. Samochód się wywrócił do góry nogami, a tam był taki murek. Ja na samym wierzchu byłem, to nosem trafiłem na murek, krew mi się zaczęła lać z nosa, leżeliśmy jak śledzie pod tym murkiem. Ale nic się nikomu nie stało. Postawiliśmy samochód i zajechaliśmy do Czerwonego Krzyża w Świdnicy. Ulokowaliśmy się, kierownik poszedł do urzędu miasta, że chcemy zajmować gospodarstwa. Ale na razie gospodarstw nie dawali. Ale: „Jak się chce – mówią – niech się zapisze do milicji, a jak będą dawać gospodarstwa, to sobie zajmie i zwolni się”. Nas może dwudziestu zostało. To był czerwiec '45, furmanką przyjechał komendant i zabrał nas trzech do Domanic. Jedziemy do tych Domanic pierwszy raz, patrzę, a te Domanice tak piękne, z jednej strony, z drugiej, bzy kwitną i myślę sobie, jaka to piękna miejscowość. Komenda była koło zamku. Wysiadłem, ale od razu ten zamek mnie zainteresował. Patrzę, a bielizna była tak ułożona pod sufit, myślę sobie, to tu dużo ludzi musi mieszkać, skoro tyle bielizny powykładane. Wołam, nikt się nie odzywa. To myślę, lepiej idę, bo tu nie wiadomo co. Chyba szpital tam był wojskowy, ale już nie było nikogo.

Komendant ubrał nas w niemieckie mundury. I jesteśmy milicjantami (*śmieje się*). Kiedy pełniliśmy służbę, Rosjanie tu podjeżdżali furmankami. Co się tym Rosjanom podobało, to zabierali. Jednego dnia przyjeżdża parę samochodów rosyjskich do zamku, nikogo się nie pytają, przyjeżdża taki jakiś, „to brać, to brać”, zabrali co było najpiękniejsze. Myśmy zaczęli z karabinami do nich, to oni do nas. To co? Załadowali to, co się im podobało, na samochody i pojechali. A zamek został pusty.

Tutaj był raczej spokój, nocami pilnowaliśmy.

W tej milicji byłem, ale ja na gospodarstwo byłem nastawiony. W jeden dzień ze Świdnicy przychodzi chyba ze trzydziestu ludzi, że będą obejmować gospodarstwa. Wójt już był i mówię, że ja już sobie wypatrzyłem takie gospodarstwo. A on nie, że dał je komu innemu. Ludzie szli przez wieś i jeden zatrzymuje się i mówi, że zajmuje to i został przy tym domu. I tak szli do

końca, aż wszyscy pozajmowali domy. Te dwa na końcu zostały jeszcze wolne, no to ja się zwołałem na drugi dzień z milicji i zająłem to gospodarstwo. I tak się zaczęło.

Ludzie pozajmowali gospodarstwa i wszyscy się nastawili na bimber. Z buraków cukrowych były wysłodki, z tego wódki można było zrobić! A to było bardzo praktyczne. Bo jak z ziemniaków się robi bimber, to się przypala, trzeba umiejętnie w tym aparacie kręcić, żeby się nie przypaliło, a te wytłoki gotowało się, i jeszcze kisiło. Dziesięć, dwanaście litrów było z takiego jednego razu. A potem, jak się kończyło, to się kapało, para szła przez wodę i leciała wódka. A jeszcze potem się drugi raz przemielano. Jak się już zrobiło, to się znów oczyszczano.

Co można było za bimber dostać?

Za bimber? A nie... To ludzie pili (*śmieje się*). Nikt nie sprzedawał, każdy miał pełno tego bimbru. Jak się żeniłem, to wesele sam sobie zrobiłem i tego bimbru narobiłem tyle, ile tylko trzeba było. Moja narzeczona była z mojej wioski, Marysia, Maria. Sześć lat młodsza ode mnie. Razem przyjechaliśmy w pierwszym transporcie. Myślę sobie, to trzeba wziąć ślub, pojechałem do parafii i mówię, że chcę wziąć kościelny ślub. Ksiądz mówi: „Dobrze, ale musi mnie pan podwieźć do Domanic”. No to dobrze, posłałem furmankę, byli goście weselni, orkiestra przyjechała, zamówiłem ze swojej wioski. Goście całą noc się bawili. Piękne to wszystko było. Na weselu było jakieś pięćdziesiąt gości. Kucharzkę poprosiłem, przygotowała wszystko, bimber był. Ksiądz dał nam ślub. Siedział na weselu, popił sobie. To był '45 rok, listopad. Tylko za jakiś czas usłyszałem, że to nie był ksiądz (*śmieje się*). A co mnie to! Mógł to być zakonnik, albo może zaczynał się kształcić. Ja w to nie wchodziłem. Mnie to nie przeszkadzało.

Trzech synów miałem. Jeden został lekarzem weterynarii, w Kątach Wrocławskich był, drugi był po studiach, wszyscy synowie moi byli po studiach.

Czy w domu, który Pan zajął, byli jeszcze poprzedni niemieccy gospodarze?

Jeszcze rok czasu mieszkaliśmy razem. Ja mieszkałem w tym pokoiku na górze, a oni na dole. My się z nimi nie kłócili, w polu razem robiliśmy wszystko, nie było żadnego problemu. Tu był wójt i sołtys i wyznaczali Niemców do wysiedlenia. Sołtys ich zawiadamiał. Ten mój Niemiec to płakał. Poszedł tu wkoło, pochodził i płakał. No przecież to tyle lat na swoim.

Miał pan swój dom. A co z gospodarką?

Kiedy ci pierwsi zajmowali gospodarstwa, w wiosce chyba trzydzieści krów było, to je wzięli, a ja już nie dostałem nic. Przyszedłem na to gospodarstwo i ani konia, ani krowy, nie ma nic. To już był '45 rok, jesień i wojsko z gór prowadziło do Rosji krowy. Całe stado, może trzysta, pięćset krów prowadzili przez Domanice. Na wschód. I w Domanicach nocowali. No i tu na jednym podwórku, koło zamku, były rozłożone te krowy. Przyszedł do mnie kolega, mówi, że jeden żołnierz chce mu sprzedać krowę, ale on nie ma pieniędzy. Ja mówię, że też nie mam. Ale mam na Pożarzysku, druga wioska, znajomych, pójdę pożyczę pieniądze i kupimy tę krowę.

Wieczorem idziemy, a tam gdzieś od zamku wyrwały się trzy krowy. „Władek, łapiemy!”, mówi. Więc ja złapał jedną, on drugą, a tę trzecią my puścili. Prowadzimy je, ale gdzie? To na Pożarzysko je prowadzimy. Ale za chwilę słyszę tam jakieś gadanie z przodu. Cholera. Puścimy te krowy. Ale patrzę, a to chłopaki były z Goli, no to jedną krowę my wypuścili, a jedną wzięli na Pożarzysko i tam ulokowałem u swoich. No i już krowa jest.

Ale myślę sobie, ja przecież poszedł po pieniądze na krowę dla tego drugiego. Zapłaciłmy za krowę żołnierzowi, ale ja tę krowę wezmę, a tu może przyść jakaś kontrola. Gdzie tę krowę prowadzić? Miałem ją prowadzić do pokoju, ale sobie myślę, narobi świństwa, więc uwiązałem ją w stajni. Ale myślę, rano pójdę i zobaczę, co tam we wsi się dzieje. No i pojechałem naprzeciw tego budynku dużego, do komendy, a tam słyszę: „Zginęła nam krowa, niech pan pośle jednego milicjanta, pójdziemy po wsi i zobaczymy, gdzie ona jest”. A komendant na to: „Gównu mnie ta wasza krowa obchodzi, szukajcie sobie sami”. To ja się już ucieszyłem. I on miał krowę i ja.

Ale jeszcze nie ma konia na gospodarstwo. W jednym gospodarstwie były dwa konie. Poszedłem do wójta, żeby mi dał konia. A on mówi: „Weź sobie jednego”. Zachodzę, a to niedaleko tu było, Niemiec sam był i mówię: „Zabieram twego konia”, a on: „Nein, nein, nein”. Skoczył do stajni i podparł się. A ja pchnąłem go, przewrócił się i zabrałem tego konia. I już mam konia i krowę, ale świni jeszcze nie mam.

Przyjeżdża ze Świdnicy jakiś urzędnik i mówi: „Chciałbym tu z pół litra bimbru kupić”. A ja tego bimbru miałem, bo robiłem bimber bez przerwy. Wziąłem liter tego bimbru, zaniosłem go. „Ile się należy?”. A ja, że nic, że to ma pan prezent. A on mówi: „Jak pan taki grzeczny, to ma pan u mnie dwie świni”. Popatrzyłem na niego. Skierował mnie do Bystrzycy za Świdnicą, do gospodarstwa. „Pan sobie tam dwie świnki zabiera”. Zajeżdżam na to gospodarstwo, rowerem pojechałem i mówię, że mam tu u pana dwie świnki. A on: „Co?”. Tam było duże gospodarstwo może dwadzieścia, trzydzieści tych świń, krowy. Niemcy jeszcze tam rządzą. A on mówi, że żadnych krów, żadnych świń nie daje. A ja mówię: „Proszę pana, ja nie chcę za darmo”. A on: „O, to co innego”. Zapłaciłem za te świni i już mam całe gospodarstwo. I tak się zaczęło.

Na początku od razu jak przyjechaliśmy, to założyliśmy gminną spółdzielnię, byłem zapatrzeniowcem i był taki porucznik z rezerwy, tutaj się osiedlił, przeszedł od Lenino po Berlin. I mówi: „Władek (a było ciężko o węgiel), ile dasz, to ci tyle węgla sprowadzę”. Ja se myślę, jakby tak wagon albo dwa tego węgla zdobył, to by było coś! Bo węgiel szedł cały do Rosji. No to ja mu mówię, masz tyle i tyle za ten wagon. No i jak zaczęły wagony iść, to ja się przeląknę. W Imbramowicach od stacji aż do GS-u, jakieś 400 metrów, wagon za wagonem idzie. I rozładują, już takie sterty wysokie są, a ja mu obiecałem, że za każdy wagon zapłacę. Myślę, rany boskie święte, co ja narobiłem? Ale daliśmy dwóch ludzi do sprzedawania. Tak sprzedawali, że dostali po trzy lata. A po ten węgiel przyjeżdżali z całego województwa, bo o węgiel było ciężko. Takie sterty były, że aż nie można było przejść. Sam nie wiem, gdzie on miał chody, bo tyle wagonów? Ale nie uszło może miesiąc, dwa i zjawił się prokurator u mnie. I pyta: „Kto panu pozwolił temu człowiekowi dać tyle pieniędzy?”. Ja się tłumaczyłem, że był brak węgla, a akurat człowiek się znalazł. I machnął ręką. To był 1946, sam początek.

Miał Pan duże gospodarstwo?

Przyszli geodeci i każdemu dawali po 8 hektarów, to już była taka norma. Jak my zaczęli gospodarzyć, to w '50 roku zaczęły się spółdzielnie produkcyjne. I była taka wredna baba, Kurlandzka się nazywała, i przyjeżdżała co parę dni, każdy musiał być przymusowo na tym zebraniu, i żeby zakładać tę spółdzielnię. Myśmy się długo opierali, nie chcieliśmy. Ale nareszcie my się poddali. Ja zostałem przewodniczącym tego kołchozu. I tak się to zaczęło.

Ten kołchoz trwał pięć lat, jak już Gomułka przyszedł, jak się zaczęło rozwalać, no to my skończyli. Z początku to była taka spółdzielnia, że krowy i konie były u siebie, a tylko się robiło wspólnie. Ale potem konie się oddało do spółdzielni. Jak założyli tę spółdzielnię, to tak się ludzie żarli, że szkoda gadać. Tak się nienawidzili.

Kiedy przyjechał Pan do Domanic, to jak wyglądała wioska? Mówił Pan, że bzy kwitły...

Młyn tu był czynny, w tym domu, jak jest przystanek. Staw był. A w stawie pełno ryb. Rosjanie to łowili te ryby bez przerwy. Na zamku nie było nikogo. Kuźnia też była. Stacja paliw, ale nieczynna. Protestancki kościół to był piękny, ale jak Niemcy wyjechali, to już był niepotrzebny. Ja mówię: „Zróbmy tam świetlicę”. Ale repatrianci: „Co, świetlicę? To ja bym wolał, żeby tam krowy stały. Tam cmentarz jest!”. To rozwalili.

Tutaj była gmina, szkoła. Z Goli dzieci chodziły, z Pożarzyska, z Chwałowa. Ja w Komitecie byłem, to razem wspólnie decydowaliśmy. Piękne czasy to były. Moje dzieci chodziły do tej szkoły. Byli zawsze perfekci, dobrze się uczyli. Zawsze się coś działo, wycieczki były różne.

Domanice bardzo się zmieniły?

Dzisiaj wszystko zamarło. Dawniej na boisku sportowym zabawy były. Jak poświęcenie sztandaru kombatantów, to w Domanicach! Dosyć ważna ta wioska była. Nawet generał Stec to u mnie w mieszkaniu był.

Tęsknił pan za swoją rodzinną wsią?

Moja wioska rodzinna, tam się urodziłem, to zawsze będę tęsknił. Każdego roku jeździłem do rodziny, to piękna wioska, już taka podgórska, ostatnia z powiatu bocheńskiego na południe. Jak była wojna, to wszyscy się bardzo szanowali. A jak przyszedłem tu, to jakbym do stada wilków wpadł. Jak ze Świdnicy przyjechaliśmy, tylko ja byłem z bocheńskiego, a reszta to wszystko były Wadowice. A ze wschodu to dopiero za rok, w '46. Jeszcze tu były niezajęte domy, jak ten zalew teraz jest, to tam było jakieś dwadzieścia domów, repatrianci je zajęli.

Tutaj oni trzymali się razem, a ja byłem dla nich jakiś obcy. Bardzo źle to wspominam. Ale potem to już się wszystko ułożyło. Zbudowałem świetlicę, potem wybrali mnie kierownikiem kółka rolniczego, dwadzieścia lat byłem kierownikiem. Mieli my piętnaście ciągników, nasze ciągniki nawet w jeleniogórskim pracowały. Nasze kółko było dość sławne. Inne kółka poupadały, po prostu rozkradli, a moje kółko się trzymało. Potem odszedłem na emeryturę, a koło jeszcze trwało.

To były ciekawe czasy.

Jakie smaki dawnych lat Pan pamięta?

Jak było świniobicie, to kiełbasy się robiło. Jaki to smak ma taka kiełbasa! Pewnie nie jadła Pani takiej swojskiej kiełbasy. Jak ja sobie pomyślę, bo co rok się zabijało świnie, to smak takiej kiełbasy był... To co się kupuje dzisiaj, to się je, bo się musi. Ale to nie to. Wszystko mieliśmy. Mleko się oddawało, potem jeszcze w krakowskie pojechałem, to kupiłem krowę, potem miałem pięć, siedem krów, to się mleko do mleczarni oddawało.

A na Wielkanoc trzeba zetrzeć chrzan, kwasi się mleko i potem ten chrzan się dodaje, to jest takie pyszne jedzenie, pani ma po tym taki apetyt! Oczywiście kiełbaskę do tego i wszystko, co się poświęci.



Maria Przystał



Nie mogę się zgodzić, że teraz jest źle...

Pani Maria Przyszał miała jedenaście lat, gdy z rodziną zobaczyła Domanice po raz pierwszy. Było to siedemdziesiąt pięć lat temu. Choć wiele się zmieniło, Pani Maria jest babcią i prababcią, ma dziś siedmioro wnucząt oraz dwanaścioro prawnucząt i od wielu lat jest wdową, to wciąż uśmiecha się dziewczęco i bije od niej niezwykle ciepło.

Urodziłam się w Bachowicach 3 sierpnia '34 roku, powiat Wadowice, województwo Kraków. Domanice to prawie całe stamtąd. I z Rzeszowa. I ze Wschodu jest trochę. Ale oni dużo później przyjechali, bo my już w '45 roku, we wrześniu. Tato mój przyjechał pierwszy, całą wojnę był w Zielonej Górze na robotach. Jak wrócił do domu, to wiedział, że tutaj się osiedlali. A w Małopolskie to taka biedota była, ci co pracowali na Górnym Śląsku w kopalni, to jeszcze jakieś życie prowadzili. Każdy miał jakiś hektar, hektar trzydzieści, hektar siedemdziesiąt ziemi, to było bardzo mało. W Bachowicach dom był ze strzechą, jedna duża izba była, po jednej stronie taka szopa, tam były szafy i ubrania, po drugiej stronie to samo. Ława była, wyciągało się skrzynię, a tam były sienniki. I na stole, wysuwało się skrzynię, i nas troje spało. W budynku była stajnia, i mama krowę miała.

Tato przyjechał tutaj sam, objął gospodarkę tam, gdzie Wójtowicz Stanisław, ale wójt Domanic i ci, co zarządzili wioską, mówią do taty, że tu już jest zajęte. Wiem z opowiadania taty: „Tu już jest zajęte i musisz szukać sobie czego innego, bo jak przyjedzie ten, co zajął, to cię wypędzi”.

Tato sam przyjechał, bo mama się bała. Nas było ośmioro w domu. Najstarszy brat był tutaj w zielonogórskim na robotach. A starsza siostra służyła u kierownika szkoły, mama załatwiła, siostra musiała iść, bo inaczej by ją zabrali na roboty, miała szesnaście lat. Kierownik miał czworo dzieci i siostra tam została. Tato i ja, i siostra, we wrześniu '45 tutaj przyjechali. Mama z resztą dzieci, z tymi małymi została tam, w domu rodzinnym, w Bachowicach, bo mówiła: „Ja nie pojedę, bo Niemcy przyjdą i wygonią”. Ale na przyszły rok w maju przyjechała.

Przyjechaliśmy pociągiem do Świdnicy przez Kamieniec, bo na Wrocław pociągi nie jechały, Wrocław cały był zburzony. Jechaliśmy chyba trzy dni. Przenocowaliśmy na pl. Lenina w Świdnicy. Tato chyba pieszo przyszedł do Domanic; najął konia i furmankę i przyjechaliśmy tutaj. Rok czasu jeszcze z Niemcami mieszkaliśmy.

W Domanicach pierwszy rok szkolny rozpoczął się już we wrześniu 1945 roku. Pamięta Pani szkołę?

Zaraz w tym roku, co przyjechałam, poszłam do szkoły, do piątej klasy. W czasie wojny uczyłam się w Bachowicach, w tej szkole, gdzie siostra się opiekowała czwórką dzieci.

Nas były dwie dziewczyny, ja i Marysia Walczyk, a reszta to chłopaki, roczniki '31 i '32. Borzygniew, Chwałów, Imbramowice, Maniów, to wszystko się tu zgromadziło i kończyli tu siódmą klasę. W roku robili dwie klasy, bo to starsze roczniki były. W 1948 kończyłam szkołę. Na początku był jeden nauczyciel, pan Styczeń. Później były dwie nauczycielki, siostry, Kudłównie, Ania i Wiesia. Szkoła była w dużym budynku. Nauczyciel łączył klasy. Mieliśmy liczydło, zeszyt i elementarz. Polski zeszyt i rachunkowy. Nauczycielki to dobre, mądre dziewczyny były. Wiesia uczyła nas różnych tańców, starsza Ania była kierowniczką.

Dwanaście chłopaków, a my dwie dziewczyny. Śpiewali nam piosenkę, sami ułożyli:
„Szy Marysie dwie,
jedna miała wąsy,
rary fary rumciumcium,
a ta druga nie!
Nie mam szczęścia, nie,
chciałbym się ożenić,
rary fary rumciumcium,

żadna nie chce mnie!”.

Dokuczali nam, jak to chłopczyska.

Do szkoły chodziliśmy ubrani normalnie, chyba że jakaś uroczystość była, to biała koszulka, spódniczka, ale nie musiało być na granatowo. Bo nie było tak jak teraz na wszystko, ze starego się szyło nowe, a moja mama szyła, przy tylu dzieciach to musiała.

Jak wyglądała wioska zaraz po wojnie?

To była bardzo ładna wioska. Park zadbane, ławki, wyspa, tu, gdzie jest staw, była na środku, tam były krowy, świnie, barany. My jako dzieci na tym stawie na łódce jeździliśmy z panią. Potem zrobili taki mostek, żeby było można przechodzić. Zamek jaki piękny był! Ta sala duża! Wkoło lustra. Potem na dole było przedszkole i kolonie przyjeżdżały. Ja tam rok w kuchni pracowałam. Od tej sali balowej ciągnęło się pięć, sześć sal, coś pięknego ten zamek był! Potem Kaczor, ten aktor, dach przełożył, bo tu przyjeżdżali i film kręcili. Zbierał konie, furmankę do filmu.

Kościół ewangelicki piękny był, bogaty, organy pamiętam, jak bawiliśmy się na boisku, to wyciągane były, chyba do Warszawy wywieźli. Te nasze Niemki na początku chodziły do niego. Organista niemiecki to był tutaj, gdzie Popielska mieszka. Był też fortepian.

Domanice miały policję, ośrodek zdrowia, straż pożarną, był kowal, krawiec Dura, szewc, koło kościoła restauracja i wesela się urządzało, i młodzież tańczyła, bufet był. To było życie. Całkiem inaczej. Teraz to jesteśmy niczym, nawet autobusu nie ma. Całkiem zapadła wioska, nie wiem, co to się stało.

A jak wam się żyło w tych pierwszych powojennych latach. Jacy byli Pani rodzice?

Tato był wysoki mężczyzna, taki hart był, dyscyplina musiała być. Umiał po niemiecku. Niemcy nam jeść gotowali, bo tata w polu, a mamy nie było, to my się stołowali cały rok z nimi. Ojciec taki był, żeby się dzieci uczyły, pilnował tego. Dyscyplina musiała być. My go bardzo doceniamy teraz, przy tylu dzieciach. Żeby wychować czterech chłopaków i cztery dziewczyny!

Mama chorowała nam bardzo. Jak przyjechała schorowana stamtąd, to mówiła: „Teraz mam trochę lepiej, dużo lepiej jak tam”. Tam w krakowskim to bieda była i jeszcze wojna, od Oświęcimia 12 kilometrów i my to wszystko słyszeli, jak się dymiło, gdy ludzi palili. A w Spytkowicach była policja niemiecka, przez Bachowice ciągle jechali. Mama mówiła tak: „Teraz mi się polepszyło, ale tego zdrowia nie mam”. Bała się iść na operację, bo miała problem z woreczkiem żółciowym. Mama zmarła, jak miała 61 lat, w 1900 roku urodzona. Tato był 1892 rok.

Wspominam często, jak mama chleb piekła. Robiła nam podpłomyk, posypany był cebulą i cukrem, to się pierwsze wkładało do pieca. Wyciągaliśmy jeszcze ciepłe i mama kroić jak teraz pizzę, dzieliła i jedliśmy. Tutaj to my normalnie jedliśmy, bo było zboże, mąka, młyn, ale tam w krakowskim to trzeba było na żarnach ukręcić mąki, chleby upieczone w piątek i sobotę to na cały tydzień. Potem to już tu piekarnia była, tato mąkę oddawał i chleb braliśmy, mama się już nie męczyła z tym pieczeniem chleba. Kasz dużo było, skwareczki były, bo mama świnie zabijała. Dynie. Teraz córka gotuje zupę dyniową, ale ona zmiksuje elegancko, a my takie kawałki tej dyni jedliśmy, ale to był smak dyni. Brukiew, my nazywali korpyle, to robiła na mleku jeszcze w krakowskim. Jedna miska i kto pierwszy, to się najadł, a kto niejadek, to...

Świnie zabijało się, krowa była, sery, masło się ubijało. Bo nie było sklepu, trzeba było jechać do Świdnicy. A czym? Samochodu nie było, nawet roweru nie było. Ino koń i wóz. Nasz radny Kołak miał konia, nasz tato też miał konia, nie pamiętam skąd. Taka stara klacz była. Jak

jechał do Świdnicy, to tam się pokupiło.

Ja się nie mogę zgodzić, że teraz jest źle, że jest niedobrze, mnie to razi. Boże kochany, tyle chleba i tego wszystkiego do chleba.

W tamtych czasach chyba szybciej się dorostało? Jak to było z Panią?

Po szkole zostałam w domu, chciałam iść na krawcową, w Świdnicy nie było, do Wrocławia trochę za daleko i zostałam z rodzicami. Pomagałam przy rodzeństwie młodszym, starsze rodzeństwo w internacie było. Tadeusz i Józia to byli w technikum ogrodniczym. Pieniądzy nie było, to tato zboże, ziemniaki, mąkę, cukier zawoził, za internat.

I ten kołchoz jak sześć lat był, to ja z tatą musiałam wszystko robić i te szkoły były opłacane.

Miałam dwadzieścia jeden lat, jak za mąż wyszłam. Z mężem do szkoły razem chodziliśmy.

To był ten, co dokuczał?

Tak, oni wszyscy razem (*śmieje się*).

Przyszedł do domu do rodziców, że się chce żenić. Oni się znali, bo byli z tej samej wioski. Grał na potańcówkach. Mąż sam się nauczył grać. To taka rodzina muzykalna była. Jego brat to trochę chodził do Krakowa do szkoły muzycznej. A z jego rodziny ze strony ojca to było dwóch albo trzech organistów. Miał powodzenie u dziewcząt, miał. W siódmej klasie jak był, to zaczął brzdąkać na organach i ksiądz Balicki trzepnął go kijem: „Ty idź tam do kościoła na chór grać”. Pani nauczycielka Wiesia Kydtówna uczyła nas tańczyć kujawiaka, krakowiaka, jeździli my do Zebrzydowa, do Pszenna i my zawsze dostawali pierwsze miejsce, a on przygrywał. Później poszedł do kościoła na litanię do Matki Boskiej w maju, wszedł na chór i zaczął grać. I później już cały czas grał. Z nut grał. Zaczął uczyć się w Świdnicy, ale nie było pieniędzy, żeby dojeżdżał. Dawniej msza była po łacinie, a on wszystko po łacinie śpiewał i „Veni Creator”, i na ślub, wszystko po łacinie. Miał piękny głos.

Trzy lata u nas w domu mieszkaliśmy. Wyprowadziła się jedna rodzina i my tam poszli, ale mąż nie był taki do gospodarki, tam było trochę ziemi i trzeba było z ziemią brać mieszkanie. Ja mówię, że to nie. Więc poszli my do teściowej. Mama jego to taka szewcucha była, jej mąż był szewcem, robił pieniądze dzień i noc, a ona zawsze kogoś miała, jakąś służącą. Zawsze miała perukę, siostrę w Ameryce, która przysyłała paczki, strojna była. Jak się było fachowcem, to się powodziło. Rok żeśmy tam spędzili, bo ona taka niezgodliwa była. I tu przyszliśmy w '64 roku i od tej pory jesteśmy. Tu zawsze sklep był, GS miał sklep na dole, do tej pory jest, a ja tu na górze mieszkałam.

W sklepie na dole byłam dziesięć lat, to GS prowadził. Jak ze sklepu poszłam, to w zamku pracowałam, a potem w Świdnicy dwadzieścia lat w spółdzielni dziewiarskiej, na ul. Frontu Narodowego, tu gdzie dzisiaj jest taka duża biblioteka. Swetry robiłam, dziesięć lat przy maszynie, części, przód, rękawy. Wszystko szło, był zbyt. A potem po operacji wykończenie ręczne, bo nie miałam już siły maszyny ciągnąć. Szycie guzików, ściągacze, wszystko trzeba było poskładać. To były 70. lata.

Troje dzieci mieli. Jak byłam w pracy, sami zostawali. Teraz dwanaście prawnuków mam, siedmiu wnuków. Widzi pani, tutaj jestem między nimi [pokazuje zdjęcie, które stoi w widocznym miejscu na witrynce]. Mnie dokleili, pytają: „Gdzie macie babcię, same wnuki, a gdzie macie babcię?” I mnie dokleili.



Stanisława Kubarska



Wesoło było w naszej wiosce...

Pani Stanisława Kubarska urodziła się podczas wojny w wiosce leżącej niedaleko Wadowic. Na Dolny Śląsk przyjechała z całą rodziną: rodzicami i rodzeństwem, dziadkami, wujkami i ciociami. Miała wtedy zaledwie roczek. Mieszka w Domanicach, w rodzinnym domu, stojącym pośrodku wsi. To okazały budynek dawnej karczmy sądowej, nad którego wejściem widnieje data 1821. Pani Stanisława znana jest w całej okolicy ze swoich wypieków i pysznej kuchni, podobno jej pomidorówka smakuje jak żadna inna. Mówią, że ma wiele talentów i „czego się nie dotknie, to wychodzi idealnie”.

Nazywam się Stanisława Kubarska, urodziłam się w Bachowicach, 6 maja 1944 roku. Z tej samej wioski co my to przyjechali Wójtowicze, Stańczyki, Przysały, Mocniaki, Niesyczyńscy.

Dlaczego Pani rodzina wyjechała z Bachowic?

Z opowiadań wiem, że byli w wiosce tacy, co współpracowali z Niemcami. Akurat chrzciny były mojego brata, co za mną się urodził, miał dwa miesiące, kiedy nam dom podpalili. Gdyby nie brat, który obudził się i płakał, to byśmy się spalili. No i w '45 roku, jak już wyzwolili tutaj, to wszyscy pojechali na Zachód, szukali gdzieś miejsca, bo domu nie mieliśmy.

Jechaliśmy bardzo długo w towarowym pociągu. Tutaj przyjechała babcia, mojej mamy matka, i ojciec, mieszkali po drugiej stronie drogi. Babcia przyjechała z dwoma córkami jeszcze i synem, co miał potem piekarnię poniżej Gromadzkiej Rady.

Nie wiem, czemu tatuś zapatrzył się na taki wielki dom, bo to trzeba remontować. Były takie ładne domki, to my mówiliśmy: „Po co taki wielki dom?”. No, ale chylił się, tam była bieda, domu już nie było, to myślał, że tu nie wiadomo, co zwojuje.

Jak my przyjechali, to była nas trójka rodzeństwa. Starszy brat, ja i ten młodszy, co płakał, jak się paliło. Przyjechali my tu w '45 roku. Z opowiadania rodziców wiem, że Niemcy tu jeszcze byli. Tu dużo ludzi ze wschodu jest, tam, gdzie zalew, to głównie oni mieszkali. Ci ze wschodu trzymali się razem, ci z krakowskiego razem.

Jak wyglądały Domanice po wojnie?

Wioska była bogata. Stacja benzynowa była, naprzeciwko kuźnia, stolarz był za nami, a po drugiej stronie Gromadzkiej Rady posterunek milicji. Szewc, kowal, stolarz. Masarnia, po Niemcach. Młyn był za naszą wioską, taki mały. Gospoda Kusbera była koło kościoła, a później była tam harcówka. A szkoły były dwie, nazywali je „mała” i „duża”. Obok był kościół ewangelicki. Straż pożarna była, tatuś był komendantem. Tam, gdzie Gromadzka Rada, to na górze lekarz był i dentysta. Na dole był urząd gminy. Na piętrze sala była duża, że kino też tam przyjeżdżało. Biblioteka była. A poczta to tam, gdzie wcześniej milicja.

Wszystko było w naszych Domanicach.

Zamek pamiętam, bo chodziłam tam za dziećmi, jak kolonie były, a potem wesela się odbywały. Przyjeżdżali studenci, jeden utopił się w rzece. Na placu była łaźnia. Zamek był piękny. Kuchnie były na dole, windą wyciągali jedzenie na górę. Mówili „sala z lustrami”, „sala balowa”. Z jednego pomieszczenia przechodziło się do drugiego. Dzieciaki miały pokoje na drugim piętrze. Na pierwszym piętrze była stołówka, zaraz koło windy. Ładne kominki były. Te dzieci, te hanyski, fajnie po śląsku mówiły, ogniska robiły. Szło się do ogrodu schodkami na dół, krzewy kwitły, kwiatów było dużo, na wiosnę wszystko kwitło, oleandry, nie oleandry.

Wesoło było w naszej wiosce.

Zamieszkaliście w tym dużym domu. Jak on wtedy wyglądał?

Była sala balowa, na pierwszym piętrze, tam, gdzie brat zrobił mieszkania. Tam, gdzie ja mieszkam, była kuchnia i okno z tej kuchni, to wydawane były posiłki na tę salę.

Zebrania wiejskie u nas w domu w dużej sali były, a potem w budynku Gromadzkiej Rady. Tę salę tatuś dzierżawił później dla urzędu gminy. Wejście było oddzielnie, schody kamienne zrobili z innej strony. Kino tutaj przyjeżdżało. W tej sali w '63 roku brałam ślub i moje córki też brały ślub. Na sali był fortepian, biały. Ale jak była w Domanicach Gromadzka Rada, to wtedy

chodzili po domach i co cenniejsze, to zabierali, ten fortepian też zabrali.

Na dole była piwiarnia. Był duży magiel, ludzie z wioski przychodzili maglować. Pranie dawało się na wałki, nawijało się i taką korbką się maglowało. Jak kolonie przyjeżdżały, to mamusia prała i maglowała pościel. Na dole wynajmował krawiec.

W krakowskim tylko jedna izba była i kuchnia. To była taka lepianka. Jak przyjechaliśmy na zachód, to mieliśmy Amerykę. Pamiętam, że dwie sypialnie były, ładne meble, piece kafłowe.

Jakie było Pani dzieciństwo?

Wesołe.

A nie ciężkie w tych pierwszych powojennych latach?

Nie, wesołe. Bieda była, bo nie było tak jak teraz, ale było wesoło.

Miałam siostrę, która zmarła z nią poszła do pierwszej klasy, to byłam potem z rodzeństwa jedna córka, a tak pięciu braci miałam. Byłam jak druga mama. Mama szła na całe pół dnia w pole, a ja zostawałam. Trójkę młodszych miałam, opiekowałam się i pilnowałam. Mama nie bała się ich zostawić przy mnie. Bez lalek się obeszło. Lalki to rodzeństwo było. Pieluchy prało się na tarce, garnek był do gotowania, gotowało się i wieszano na polu. Tak trzeba było sobie radzić.

Chodziłam do tej dużej szkoły, spora klasa była, jakieś dwadzieścia dzieci. Dyscyplina była, jak kto zasłużył, to i linijką dostał w łapę, jak nie odrobili lekcji, to zostawali w szkole. Dzieci robiły dużo. Szósta klasa, siódma to już chodziłam w pole. Trzeba było kosą kosić, obkaszać zboże, maszyną wiązać zboże, jako dzieci chodziliśmy do ziemniaków, buraków, rządki były takie szerokie i gęste, że trzeba było punktować buraki.

Domem mama się zajmowała. Tata nie miał czasu, przychodził zmęczony z pola, musiał oporządzić w stajni, koniom i krowom jeść dać. Owszem, była pieczęć ojca, bo każdy się bał ojca, co powiedział, to tak musiało być. Taka dyscyplina. Nie było tak, że chłopaki gdzieś poszły, tatuś musiał wiedzieć, że o tej i o tej muszą wrócić. Bracia dostawali paskiem, ja też, i nikt nie poszedł się skarżyć. Za niegrzeczność się dostawało, jak tata kazał coś zrobić i nie zrobiło się, to też.

Bracia podrośli, Pani skończyła szkołę i co było dalej?

Jak skończyłam szkołę, to uczyłam się fryzjerstwa, rok czasu w zakładzie w Żarowie, dojeżdżałam rowerem do Imbramowic, a później pociągiem. Bo to nie było tak jak teraz. Później w Świdnicy się trochę uczyłam krawiectwa, u takiej pani, co miała zakład krawiecki. Nie mam swojego zawodu, ale to, co przyuczyłam się, to wszystko potrafię. Jak skończyłam kurs fryzjerski, to otworzyłam sobie taki punkt, ale to potrwało rok. Dzieciakom wszystko szyłam, dwie dziewczynki były i syn.

Pracowałam w Świdnicy w ZWAPie (Zakłady Aparatury Precyzyjnej), duży zakład to był, robili liczniki, na wiertarkach wierciłam różne detale, części do liczników. Dwadzieścia lat pracowałam. Nie zawsze na taśmie byłam, czasami na takiej małej wiertarce sama pracowałam. Było ciężko, ale jakoś sobie radziłam. Musiałam. Nieraz detale były takie, że ciężko było wiercić, piątka wiertło lub trójka. Autobusem dojeżdżałam, ciężko, bo dzieci były. Trzy zmiany szły. Jak na drugą zmianę pracowałam od drugiej do dwudziestej, to nie miałam autobusu z powrotem

i nocowałam u koleżanki, a rano wracałam. Dzieciaki po sąsiadach były, nie było przedszkoli.

Do pracy dojeżdżało bardzo dużo ludzi, nieraz można było się nie dostać do autobusu. Kursów było dużo, na szóstą do pracy to po piątej wyjeżdżali.

Znana jest Pani w całej okolicy ze swoich wypieków.

Robiłam dużo zabaw na sali, na świetlicy, wesela, po innych wioskach nawet, daleko.

Powiem szczerze, moje ciasta były, nie chwaląc się, wszystkie dobre, torty tak samo. Do tej pory do urzędu gminy piekłam na różne okazje. Każdy był zadowolony z moich ciast. Różne ciasta. Już teraz mniej piekę, nie mam siły, teraz tylko dla rodziny, ale tak po znajomości to jeszcze upiekę. Nawet dzisiaj dwa placki piekłam na wesele, syn znajomej się żeni. Przedtem jak szłam na wesele, to ja trzydzieści blach ciasta piekłam i to tu, w domu. A jedno wesele miałam w Mietkowie u Sandurskiego, to mistrz w zapasach, ja tam wesele robiłam na dwieście osób. Tam ze sto blach ciasta było, ale to już tam piekłam. Pomoc była, ale wszystko było na mnie. Jak się weszło, to na regałach same ciasta były. Ale teraz już bym tak nie potrafiła, nie mam siły.

Mnie tu wszyscy znają z pieczenia. Z gotowania też. Niedawno, bo już drugi rok nie robię zabaw, ale leśniczy wie, ile ja zabaw zrobiłam na cel kościoła. Pod rząd dziesięć Sylwestrów robiłam.

A teraz zostawiłam to i już nie ma kto robić. Ludziom się nie chce. Ładne były zabawy sylwestrowe. Orkiestra przyjeżdżała ze Świdnicy co roku, tak bawiła, że bawiła. Pomału wszystko zanika. Życia nie ma. Przedtem sąsiad z sąsiadem się spotkał. Dawniej organizowali potańcówki. Straż na drugą wioskę, nie samochodem, pamiętam, bo tatuś był komendantem, do Chwałowa na zabawę czy Pożarzyska to wozem jechali lub bryczką. Sąsiedzi się spotykali, teraz nie spotka pani w tygodniu, żeby ktoś przyszedł...

Chciałam jeszcze zapytać o smaki z dzieciństwa.

Co kiedyś smakowało? Jak pamiętam, bo wiadomo, że krowa była, to mleko było. Mamusia gotowała zacierki na mleku i tośmy jedli. Takie kluski rzucane na mleko nazywano zacierka. Chleb piekliśmy, tutaj piec chlebowy jest, zamurowany, ale do tej pory jest. Ser, mamusia sama robiła ser i masło. Jak dorostałam, to ja ubijałam masło maśliczką. Ja już z piętnaście lat miałam, to jeszcze masło robiliśmy. Swoje produkty były, kury, jajka były, gęsi.

Śmietana była gęsta, smarowało się chlebek, jeszcze swojski, i cukrem posypywało. Smalec musiał być ze skwarkami i później jak ogórki były, to się wyciągało smalec i ogórki. Samemu się szło i smarowało. Ser się nakładało na chlebek, solą się sypało czy cukrem i tak się jadło. Tak to było.

Na wigilię to zawsze mieliśmy takie dania: pierogi z kapustą i grzybami, pierogi ruskie, uszka z barszczem czerwonym, żurek z grzybami i ziemniaczki do tego, no i zupa owocowa z suszonych owoców, śliwki, jabłka z makaronem albo z kluskami. Ryba. Nie było kutii. Ciasta to makowiec taki zawijany, sernik, sztrucla.

Kapustę się kisiło. W beczce. Nieraz to tak było, że tatuś czy ktoś ze starszych mieli takie gumowce specjalne do kisenia kapusty, nowe gumowce, na to się nakładało folię i nogami się tłukło. Chodziło się w tej beczce, a nieraz to był taki tłuk zrobiony. I ubijało się, ale przeważnie to nogami. Do dziś syn kisi i tak samo depta. Musi mieć beczkę kapusty! On depta albo syn, kupują już szatkowaną kapustę, bo wcześniej się szatkowało. Nieraz i dwa metry kapusty, zależy jaka beczka. Ogórki robiło się w glinianych beczułkach. Jak świnie się zabiło, to się słoninę

wędziło i w słoiki się wszystko robiło. To nie tak, że tylko na dziś. Robiło się różne wyroby, gotowało się w słoikach i na cały rok było.

Mówiła Pani, że ludzie się często spotykali. Czy były jakieś specjalne okazje?

Jak nieraz ktoś chował gęsi, to rok, dwa zbierał pióra i przeważnie w zimie się skubało, z tydzień się skubało, a nawet i dwa. To się spotykaliśmy. U nas też takie skubanie było. Kto zaprosił, to myśmy szli i skubali. Pierze było na pierzyny, poduszki, bo nie można było kupić poduszki z pierza, czy pierzyny. Kobiety darły pierze, a mężczyźni przychodzili tylko i rozbrabiali (śmieje się). Jak tam jakie chłopaki przyszli, to pióra w nas rzucali i się wygłupiali. A później był tak zwany wyskubek. Harmonia, śpiewali, przygotowywali coś do jedzenia, to było takie zakończenie. Wesole było. Puch przelatywał, a ten grubszy zostawał. Historie się opowiadało, różne hecowe. Śpiewało się przy darciu pierza różne piosenki.

W czasie ślubu z oriestrą szli wszyscy do kościoła. Teraz już nie, teraz cichutko. Orkiestra jak z tamtego końca wsi szła, to cały czas grali. Bramy robili, takie hece: przebierali się za kobietę z dzieckiem-lalką, że to niby dziecko tej młodej, nieślubne. Różne hece były. Wesole było. Wesela były duże. Gotowali w domu, wynosili z domu stoły. Nieraz robili takie zadaszania i tańczyli na polu, jak ktoś miał podwórko. U nas była sytuacja lepsza, bo była sala. Sąsiedzi pożyczali sobie stoły, jeden od drugiego. Później Koło Gospodyń było, pani Żywioł naczynia wypożyczała, ale z początku to jakoś sobie radzili.

I w czasie pogrzebu cała wioska szła przez wieś, zmarły w domu leżał. Jak tatuś zmarł, to też w domu leżał, a młodo zmarł, bo miał wypadek, czterdzieści dziewięć lat miał. Taki duży pogrzeb był, wszystkie straże były. Ale nie było stypy, żadnych stypów nie było. Tylko ci najbliżsi. Ciocia tutaj mieszkała, ona nigdy nie robiła stypy, jak zmarł syn, drugi, mąż, nigdy nie robiła stypy, i ona jak zmarła, też nie kazała robić. Nie nauczeni byli ludzie robienia stypy.

A komunie?

Komunie były w parafii z początku. Na plebanii się robiło poczęstunek dla dzieci. Stoły były, mamy piekły ciasta. Nie było komunii w domach. Dziecko ciasto zjadło, kawę wypilo. Nie było prezentów. Zrobiło się zdjęcie grupowe na plebanii i tyle. Nie było takiego wystroju jak dzisiaj. Sukienki swojej nie pamiętam. Jeździł taki fotograf, to niektórzy robili pojedynczo zdjęcia.

Czy jest coś, za czym Pani tęskni?

Najbardziej tęsknię za tym, że wesole było, nie było tak smutno jak teraz, że się przesiedzi cały dzień w domu, nie uwidzi się nikogo na drodze, nikt się nie spotyka, taka prawda. A przedtem ludzie na ogrodach siedzieli, śmiali się, śpiewali. Nie to, że pili, ale spotykali się. A teraz nie uświadczysz człowieka nikogo.



Dorota Talkowska



Stak tu się zrobiło międzynarodowo...

Pani Dorota Talkowska urodziła się w Domanicach już po wojnie. Jako dziecko często spędzała czas w bibliotece, gdzie pracowała jej mama. Książki zawsze w jej życiu były bardzo ważne, studiowała bibliotekoznawstwo. Przez lata pracowała w banku spółdzielczym w Mietkowie. Ze swoim wnukiem wciąż mieszka w rodzinnym domu, który trochę przypomina muzeum. Gdy rozmawiamy, ze ścian spoglądają na nas postacie w XIX-wiecznych strojach. Pani Dorota kocha zwierzęta, ma kilka psów, mówi, że nie potrafi zostawić bezdomnego zwierzaka bez pomocy, serce jej nie pozwala.

Nazywam się Dorota Talkowska, urodziłam się w szpitalu Żarowie w '50 roku, czyli siedemdziesiątka już jest (*uśmiecha się*).

Skąd pochodzą Pani rodzice? Jak się tutaj, na tzw. Ziemiach Odzyskanych, znaleźli?

Mama urodziła się w 1918 roku, miała dwadzieścia siedem lat, jak przyjechała w lipcu '45 roku do Domanic. Pochodziła z Ostrowca Świętokrzyskiego i jechała tutaj, bo koniecznie chciała mieć sklep. Ale jak zobaczyła piękne Domanice, to uznała, że już nie chce mieć sklepu w Świdnicy. Miała jakichś znajomych w urzędzie osiedleńczym i osiedlała ludzi. Ludzie z transportów, którzy przyjeżdżali ze Wschodu, wspominali mamę miło. Pracowała w urzędzie, w Gromadzkiej Radzie, i przydzielała domy. W Maniowie są ludzie, których tam skierowała. Sobie też wybrała dom, ten dom.

Ojciec się urodził w Kijowie, bo dziadek był drukarzem i pojechał tam za pracą. Ale był Polakiem, pracował w drukarni, jak tam się zaczęły rozruchy, to wrócili i mieszkali w Warszawie. Pamiętam, jak byłam dzieckiem, to mama mnie wywiozła do Warszawy, do siostry ojca, abym niepewny czas tam przeczekała, bo tutaj panowała szkarłatyna. Jak byłam u babci w Warszawie, to było akurat wtedy, kiedy Stalin umarł.

Pobrali się z ojcem przed wojną, pracowali w Starachowicach w fabryce broni. Później ojciec siedział w oflagu i mama przyjechała tu, bo była ciekawa. Była po szkole ekonomicznej, przedwojennej, to wtedy był już ktoś. A ojciec pracował w ZWAPie, jest chyba nawet jego zdjęcie w izbie pamięci, był specjalistą od pomiarów precyzyjnych. Jak chodziłam do niego, to były tam wielkie mikroskopy, był kierownikiem izby pomiarów. Specjalistą jednym z niewielu na Dolnym Śląsku, chyba dlatego że pracował wcześniej w fabryce w Starachowicach, tam musiał nabyć wykształcenie, zresztą miał jakieś technikum. Do pracy szedł na piechotę do Imbramowic, pociągami do Jaworzyny, w Jaworzynie przesiadka i do Świdnicy. Wychodziłam po ojca na drogę. Do tych Imbramowic psy mu zawsze towarzyszyły i stąd chyba moja miłość do psów.

Potem mama długo pracowała w bibliotece. Bibliotekę prowadziła do emerytury. To nie była taka zwykła biblioteka do wypożyczenia książek, tam całe życie kulturalne się toczyło: kursy różne, spotkania z ciekawymi ludźmi. Pamiętam spotkanie z majorem Zapędzkim, który wygrał w strzelaniu na olimpiadzie złoty medal. Byli podróżnicy. Przeważnie studenci, którzy podróżowali albo opowiadali o uczelni. Pamiętam takiego Jurka Kropa, który wrócił z Węgier i opowiadał, jak tam jest. Dla mnie była to wielka egzotyka, jak to daleko był! Na spotkania przychodzili wszyscy, panie z Kółka Gospodyń Wiejskich z mężami. Były kursy szycia, gotowania. Przepisy nawet mam z tych kursów pisane na maszynie. Szczególnie kobiety się gromadziły na takich spotkaniach. Panie bardzo dużo wyjeżdżały, gdzie im się zamarzyło, mama organizowała wycieczki.

Pamiętam niektórych czytelników, jednego pana, który przychodził do biblioteki i mówił, że dzisiaj bierze książki stąd dotąd. Później sobie w domu przeglądał, czytał, oddawał uczciwie.

Do biblioteki zapraszano wojsko, pamiętam Rosjan, zapraszali ich z Domu Oficera ze Świdnicy, i myśmy się z nimi przyjaźnili. Przyjeżdżali zawsze do Skotnickich na wódkę, na ogniska. Taki plastyk z Domu Oficera, Wasyl Obertyński, pokazywał swoje prace, bo pięknie malował, a Wiktor tańczył, w Klubokawiarni było spotkanie z nim. Śpiewał i tańczył. Nasi wojskowi też przyjeżdżali.

Z kroniki wiem, że pierwszą książką, którą wypożyczono w Domanicach po wojnie było „Nad Niemnem” Orzeszkowej, a drugą była zupełna nowość wtedy „Dzikowy skarb”.

Tak? Książek było sporo, owijałyśmy je w szary papier i naklejało się kółeczka z tytułem i autorem. Dla dzieci była jedna półka tylko. Ja jako pierwsza, kiedy przychodziły książki, miałam ten przywilej, że oglądałam sobie sama wszystkie nowości.

Dużo osób potrafiło czytać?

Wszyscy potrafili czytać, tylko mama koleżanki nie umiała, gdzieś z Rzeszowskiego przyjechała. Ale panie, jak pisały przepisy na tych kursach, to podglądałam, że ciężko im szło pisanie, więc mama dawała im napisane na maszynie. Może nie biegle, ale umiały czytać i pisać, chociaż z błędami. W bibliotece były takie pudełeczka z kartami czytelnicznymi, to sporo ich było. W bibliotece zawsze ktoś był.

Co Pani mama opowiadała o pierwszych dniach, pierwszych latach w Domanicach?

Mama była zachwycona Domanicami. Jak jechała przez Domanice, to widok był cudowny, park, swoboda, bzy. Była bieda, bo nie wszystko było dostępne, ale jakoś sobie radzili. Mieliśmy kawałek ziemi, ale to była taka uprawa: „Panie Paszkowski, niech mi pan zaorze, zasieje, a potem zbierze”, to było takie zawracanie głowy, ale mama się później rozliczała. Była pszenica, ziemniaki, później len wszyscy sadzili. Tego lnu nie zapomnę, bo jak się go wyrwało, to miałam pęcherze między palcami, nie umiałam sobie z tym lnem poradzić. Pracowałam w polu, jak trzeba było.

Ośrodkiem napędzającym ludzi to był PGR. W bibliotece szkolenia się organizowało o uprawach, o nowych maszynach. Kierownik PGR-u dawał nam bryczkę dwukółkę, ja umiałam prowadzić, i woziłyśmy książki na punkty biblioteczne do Bukowa, do Imbramowic. Jakaś partię książek mama wybierała i zostawiałyśmy te książki w szkole, a potem odbierałyśmy. Jak były zniszczone, to mama się awanturowała: „Gotowaliście na nich, czy jak?”.

Pierwsze żniwa, zboże, to były pieniądze, które chłopci odwozili do Imbramowic na stację, to były pieniądze na tak zwane potrzeby, spłacali kredyty, kupowali węgiel, a już pieniądze za buraki to były na inwestycje, kupowali meble, coś takiego trwalszego. Uprawiali też len, był tu punkt skupu. Za ten len dostawaliśmy dużo pieniędzy. Później nawet kupili wrywaczkę, brzegi pola trzeba było wyrwać ręcznie, a potem już wrywaczka jeździła. Tu jest dobra ziemia, i cukrownia w Pszennie była blisko.

Jakie są Pani najdalsze wspomnienia?

Najdalej jak sięgnę pamięcią, to pamiętam, że miałam Niemki nianie. Panią Geislerową i Renatę. Miałam wtedy może ze cztery lata i mówiłam po niemiecku tak samo jak po polsku. Pamiętam nawet, że podpuszczali mnie, pytali: „Co to jest?”. I tłumaczyłam. Pani Geislerowa była starszą panią, a Renata młoda, zostały tutaj po wojnie, ale potem wyjechały. Przychodziły z Siedlimowic.

Za kościołem była gospoda, prowadził ją Niemiec, pan Kusber, i Leja, jego zięć. Pamiętam dwie dziewczyny, młodsza Gisela, taki szatan była, wszędzie chodziła z nami i rozrabiła, Helga była starsza. Kusber spadł ze schodów i się zabił. Leja co niedzielę chodził za rzekę na taki grób, usypisko, i ja go tam podglądałam. Panią Kusberową pamiętam bardzo dobrze, taka malutka kureczka siwa, z koczkiem z tyłu, opowiadała mi o bananach, jakie to pyszne są owoce. Wspo-

minała i wzdychała. Dużo ludzi tam chodziło, Kusber mówił po polsku, trochę stękał, liczył po polsku, chodziliśmy do niego po takie wafle trójkątne oblewane z boku czekoladą, u niego były taniej, jak gdzie indziej. Nie wiem, czy tam można było coś zjeść, ale stodycze i piwo były na pewno.

Potem pamiętam, że chodziłam do przedszkola dla dzieci spółdzielców, bo była spółdzielnia produkcyjna, to lata pięćdziesiąte były, szefowa przedszkola była mamy koleżanką i dlatego się dostałam. Ojciec miał bernardyna, pilnował mnie. Jak chciałam gdzieś iść, a mama nie pozwalała, to mnie tak mocno przyciskał do muru, że nie mogłam się ruszyć. Po wsi jeździł fotograf i robił wszystkim zdjęcia. Z kucykiem chodził i z psem czasem, fotograf stawiał grzybek, pod którym dzieciom robił zdjęcia.

Do szkoły chodziłam tutaj, pamiętam, że w pierwszy dzień było na dwunastą, a ja stałam pod jaśminem i ryczałam, bo chciałam już o dziesiątej iść, ale niania mnie nie puściła. Fajnie było w szkole, bo było nas dużo. Z każdego gospodarstwa wychodziły ze trzy, cztery osoby do szkoły. Szkoła była w trzech budynkach i tak nie mogliśmy się pomieścić. Uczyłam się nieźle. Najpierw była religia i odmawialiśmy „Duchu Święty”. Pani Krzywicka, pierwsza moja wychowawczyni i nauczycielka, to była bardzo taktowna, kulturalna i opanowana pani, wspominam ją bardzo dobrze. Lataliśmy na przerwach po kościele ewangelickim, który stał na podwórku, i na cmentarzu ewangelickim też były zabawy. Chodziłam z koleżanką i patrzyłam, który grób najstarszy, który najładniejszy. Później wyszabrowali te pomniki. To były piękne czarne marmury. Przewodniczący sprzedał to jakimś kamieniarzom.

Pamiętam, jak zakładałam się z dziećmi i wchodziłam do grobowca. Tam była ruda kobieta w trumnie ze szkła, leżała przy drzwiach i miała takie czarne kozaczki. Założyłam się, że na Wszystkich Świętych tam pójde i zapalę znicz na schodach. No i weszłam tam po ciemku. Ubierałam buty tej kobiety, nie wcisnęłam ich, bo mniejsze były. Później ksiądz zasypał wejście.

Park był piękny. Staw obłożony wikliną, piękna Młynówka u mnie tu za płotem, czyściciusienka woda płynęła na młyn. Teraz to jest ściek. Park dawał swobodę, jak byłam dzieckiem, zapadałam się w ten park rano i pasłam z dziećmi krowy, paliliśmy ogniska, lataliśmy po mostach. W lecie cały czas siedzieliśmy nad rzeką i kąpaliśmy się, woda była czyściciusienka. Ja się nawet mamy pytałam: „Czy ty się nigdy nie bałaś o mnie, że się utopię?”. A ona mówiła, że jakoś jej to do głowy nie przyszło. Lataliśmy na aleje czereśniowe, aleje gruszkowe, były przy drodze do Imbramowic. Pełna swoboda. I nikt się jakoś o dzieci nie bał, i jakoś nic się nikomu nigdy nie stało.

Później przyjechała taka rodzina sąsiadów, duża bieda u nich była. Dziwiłam się, że nawet miotły nie mieli. Ja byłam niejadek, ale tam jadłam ziemniaki ze szczypiorem i mlekiem, i chleb z cukrem, i chleb z musztardą. Bardzo mi smakowało. Jadłam razem z dziećmi, które tam były. Koniem na pole jeździliśmy zbierać liście buraczane, kroiliśmy je na paszę dla świń. Obrywało się buraki dookoła, tylko te najstarsze liście, żeby burak jeszcze rósł. U tej sąsiadki nauczyłam się robić skarpety na drutach, sweterki, dywaniki z pończoch. Cały czas tam wysiadywałam, bo ja byłam jedna w domu, a mama w pracy. Chodziłam po chałupach i zaglądałam, co kto robi. Jak się jadło, to na talerzu było pół ziemniaków i pół zsiadłego mleka, łyżką się jadło wszystko. Mleko było jak skała, gęste. Pamiętam, jak rozmawiałam z gospodarzem, bo nie chciał jechać do sanatorium, pytałam: „Panie Grzywa, czemu nie chce pan jechać do sanatorium?”. A on mówi: „Bo ja nie umiem jeść nożem i widelcem, tylko wszystko łyżką”. I to był powód, że nie pojechał.

Jak przychodziłam do domu, to mówiłam do mamy, że też chcę, jak pan Grzywa, jeść tylko łyżką. Pamiętam, że tam się żur gotowało i mleko zsiadłe, i ziemniaki. Chleb wodą się polewało i cukrem. Później jak zabili świnie, to zawsze to coś innego było, świnie się biło dwa razy do roku. Pamiętam jeszcze mięso ze stoików. Najlepszym rzeźnikiem w Domanicach to był pan Schmidt, Niemiec, autochton, który tu mieszkał. I on chodził zabijać świnie, i przepyszne wyroby robił, przepyszne. Jego kaszanka mi najlepiej smakowała. Jak na wycieczki jeździliśmy z hodowcami buraka cukrowego i Schmidt siedział za mną, to tymi swoimi kielbaskami częstował. On tu został, leży na cmentarzu.

Był tu ksiądz Galik, rolnik z krwi i kości, mówił: „Dziś kazania nie będzie, bo trzeba iść siano zbierać”. Zawsze wysyłał do kurii wagon zboża, bo miał dużo hektarów. Na msze przyjeżdżał spracowany. Paniom starszym się nie podobał, bo niesporów nie ma, tego nie, bo bez księdza. Ja go pamiętam, jak poszłam do pierwszej spowiedzi przed komunią, ja tych grzechów nie miałam dużo, ale ksiądz się pytał: „Czy ja jajek nie kradnę?”. Potem patrzy, wychyla się i mówi: „A to Dorotka, to dobrze, to pukam”. Był jak rolnik. Mój przyszły mąż poszedł przed ślubem do niego po moją metrykę. I mówił, że wyszedł jakiś facet w gumowcach i pytam go: „Czy jest ksiądz? A on mówi, że zaraz będzie. Potem wchodzę do kancelarii, a tu ten sam, tylko się przebrał. Na biurku jakiś sznurek, młotek” (*śmieje się*).

Organista chodził po kolędzie z księdzem. Mój ojciec był zawsze taki przejęty, powkładał sobie pieniądze do różnych kieszeni i powtarzał: „Tu organista, tu ksiądz, tu ministranci. Ministranci, ksiądz, organista”. Powtarzał sobie, żeby mu się kieszenie nie pomyliły.

Opowiadałam, że jak Niemcy tutaj byli, to było fajnie, a potem, jak Rosjanie przyjeżdżali, to też było fajnie. Pomagali w polu, zbierali ziemniaki, robili ogniska. Jak było u nas trudno z zaopatrzeniem, to jeździłam do ich sklepów do Świdnicy, płaszcz sobie kupiłam. Wozili tuszonki, to, co mieli, to przywozili. I tak się zrobiło międzynarodowo. Śpiewaliśmy razem przy ogniskach, to byli normalni ludzie. Gruzin taki zakochał się w mojej koleżance, listy mam jeszcze jego do dzisiaj, ryczał, jak wyjeżdżał, a wywalili go chyba za to, że się za bardzo spolszczył.



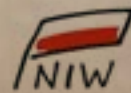
Rozmowy przeprowadziła: Marta Miniewicz
Redakcja: Marta Miniewicz
Korekta: Sonia Mozel, Marta Miniewicz
Zdjęcia: Joanna Fangrat, Marta Miniewicz
Opracowanie graficzne i skład: GG Design



TRAWA
oficyna społeczna



Program
Fundusz Inicjatyw
Obywatelskich
na lata 2014-2020
FIO



Narodowy Instytut Wolności
Instytut Nauki, Społeczeństwa i Gospodarki